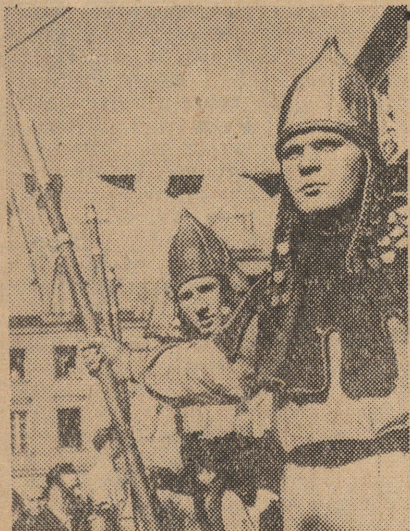


Przebieg Wieloletni Krawców 1960. 238.

Cudze pijecie, swego nie znacie

Czy słyszeliście o takim mieście, które corocznie bywa oficjalnie, powszechnie i programowo pijane? W którym czciciele kielicha nie zaczepiają srodzy milicjanci, a przechodnie życzliwie schodzą im z drogi. Istnieje tylko jedna taka miejscowość w Polsce — i jeden



Z dni winobrania
Fot. T. Jaworska

taki, błogosławiony dla wyznawców Bachusa — dzień w roku.

Zielonogórskie winobranie ma bowiem swoją w ekową tradycję. Pojawiają się wtedy na ulicach potężne beczki, a w każdej z nich, oblezionej przez podniecony tłum, mieści się cały winiarski sklepik, gdzie sprzedaje się szlachetny trunek na

szklaneczki. Wychodzą na place habardnicy, trefnisie, rajcy miejscy, przystrojeni w średniowieczne stroje. Tak chyba właśnie wyglądali stali bywalcy winiarni, zachowanej w niezmiennym stanie w zielonogórskim muzeum. Tak też zapewne wesoło czcili gronowe żniwa w owych zamierzcztych już czasach, kiedy to dochody z winnic stanowiły niemal połowę wszystkich zysków miasta.

Ale przecież nie tylko o zyski w tej pięknej tradycji chodzi. Winobranie — to zarazem dowód zwycięstwa ludzkiej cierpliwości nad surowością nieprzyjaznego klimatu. Przecież Zielona Góra pozostała do dnia dzisiejszego najdalej na północ wysuniętym punktem przemysłowej uprawy winorośli. Delikatna roślinka z Samos, Nadrenii, Szampanii i Malagi, wyhodowana w łagodnym słońcu południa, musiała przebyć długą i ciężką drogę, zanim — w ciągu XIII i XIV wieku — rozszerzyła swą ojczyznę aż po daleki Śląsk. Nieważne już dzisiaj, czy sprowadzili ją na te ziemie cierpliwi braciszczowie zakonu cystersów, czy też obznajomieni z jej uprawą osadnicy frankońscy. Ważna jest natomiast długa historia walki z porywistymi wiatrami, z nagłymi zimami i śmiercionośnymi — dla przybysza z południa — zmianami temperatury. Każda przegrana człowieka oznaczała tu głód i niedzęcałych wiosek.

Ale wytrwali winiarze nie wyrekli się krzewu Dionizosa dla pewniejszych upraw. A i sam krzew zaczął się powoli hartować i uodpornić w surowych warunkach. Coraz silniej uczeptał się korzeniami w niegościnną ziemię, coraz lepiej znosił nieprzychylny sobie klimat. Stawał się też zarazem coraz sławniejszy. Wino z Gubina wędrowało w pękatych beczkach do Prus i Kurlandii, pojawiało się w zapiskach kupców z Lubeki, chwalili je sobie komturowie w krzyżackim Malborgu. Ba, trafiało i do komór celnych Sztokholmu. Potem jednak, gdy ożywiły się i ulepszyły szlaki handlowe, na rynki wtargnęły szlachetniejsze napoje z Burgundii, Dalmacji i Sycylii, wypierając swym niezrównanym smakiem zielonogórskie cieńkusze.

Jednak miejscowi winiarze nie zrezygnowali, podtrzymywani w swym uporze przez żadnych zysku fabrykantów. Niemiecka firma Gremplera (ta sama, która do dziś pisze na tłoczonych w NRF etykietkach: „Czasowo na wygnaniu”) długo jeszcze zbijała majątek, specjalizując się w produkcji szampanów.

Po wojnie zabrakło specjalistów, zabrakło też doświadczenia. Ale przecież zapał kilku winiarzy pomógł utrzymać tradycję. Łagodne stoki wokół Zielonej Góry nadal usprawiedliwiają nazwę miasta — długimi rzędami winnych latorośli. Jedynie w Polsce muzeum winiar-

skie cierpliwie gromadzi przemysłne prasy, drewniane koryta, ozdobne rygle beczkowe i wyszukane dzbany. Jedna ze starych, ogromnych beczek — eksponat już prawie — do chwili obecnej pełni funkcję użytkową w całkowicie zmodernizowanej po wojnie i zmechanizowanej Wytwórni Win. Kształcą fachowców-winiarzy szkoly rolnicze w Warszawie i Poznaniu oraz łódzka Politechnika. Pośród repatriantów z Francji i miejscowej ludności znajdują się coraz to nowi entuzjasci szlachetnej rośliny, która sama nie chce opuścić tych stron — i do dziś w maleńkim, zabitym deskami Gubinie oplata dziczejacymi już pędami okoliczne wzgórza. Czy nie należy więc rozszerzyć terenów upraw? — zastanawiają się entuzjasci. Czy nie odrodzić tradycyjnych ośrodków winiarstwa: Gubina, Krosna Odrzańskiego, Sulechowa? Przecież to zaktywizowałoby te zapomniane przez ludzi ziemie...

Nie godzi się mrozić tych projektów uwagami o nieopłacalności upraw, o przemożonej konkurencji winogron bułgarskich, rumuńskich, jugosłowiańskich, sprowadzanych obecnie dla produkcji co lepszych gatunków. Winobraniowa tradycja domaga się swego uzasadnienia — w nowych wysiłkach człowieka, partych tym razem przez zdobywcze nowoczesnej agronomii. Może wtedy szlachetne wino mszalne, burstynowy „Laur” i pachnące zio-

łami „Monte Verde”, które od miasta wzięło swą nazwę — znajdują się nie tylko na stołach zielonogórskich obywateli. Może skosztuje ich również mieszkaniec Krakowa.

Na razie jednak — chcąc poznać smak tych swojskich napojów — musi przyjechać na październikowe winobranie. Musi się w mieszać w tłum pijących — i żałować, że nie wykorzystano tu wszystkich możliwości gronowych godów. Że nie nawiązano do tradycji średniowiecznych zabaw ludowych — z ulicznymi popisami artystów cyrkowych, z powszechnym konkursem siły i zręczności, z ogólnopolskimi zawodami kiperów oraz wesołym wyborem „króla opojów”. Że nie urządzono turnieju poetyckiego krotofil i wierszy o winie. Że nie skrzyknięto braci malarskiej z całej Polski — znanych winożopów — by kolorem i dowcipem ożywił miasto tak, jak to oni tylko potrafią.

Ale o ustalenie specyfiki zielonogórskiego święta, ściągającego corocznie tłumy turystów, musiałyby się postarać również inne miasta — w tym nasz Kraków — i to bez konkurencyjnych zawiści. Wino przecież sprowadza czasem dobre pomysły i łączy ludzi w braterskim uścisku. A wino zielonogórskie poza tym symbolizuje jeszcze coś więcej: pracowitość, wytrwałość — i tę trochę fantazji, przekładającej nieopłacalną, ale pełną poezji winorośl — nad zyskowniejszy, lecz prozaiczny o-wies.

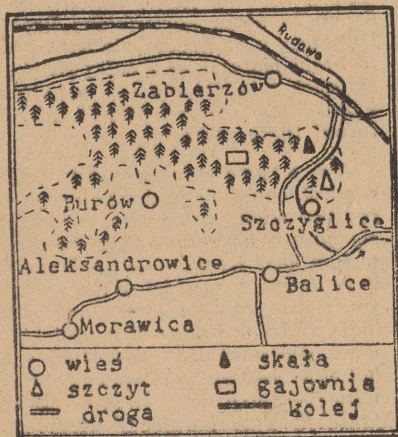
BOLESŁAW GARLICKI

TG-OM-445-2

za miasto

Skala Kmity

Flynąca od Krzeszowic szeroką doliną rzeka Rudawa, skręca na terenie wsi Zabierzów w kierunku południowym i tworzy ładną, przełomową dolinę, dochodzącą do 3 km długości. Na lesistych zboczach tej doliny wnosi się wysoka ponad 15-metrowa skała wapienna z krzyżem na szczycie. Jest to Skała Kmity (277 m), z którą fantazja ludowa łączy interesujące podanie o rycerzu Stanisławie Kmicie. Rycerz ten, zakochawszy się nieszczęśliwie, odebrał sobie życie rzucając się ze skały zwanej odtąd jego imieniem. Na ścianie skały, odczytać można mocno już zatarty wiersz Win-



centego Pola opowiadający o dziejach bohatera przytoczonej legendy. Przełom Rudawy ze Skałą Kmity jest chyba najpopularniejszym miejscem wycieczkowym mieszkańców Krakowa. W pełni lata przyjemne spędzenie weekendu za-

pewnia rzeka, łąki, las itp., w jesieni — warto pospacerować po okolicznych lasach mieszanych.

Od Skały Kmity urządzić można kilka krótkich, ciekawych wycieczek. Na wznoszące się naprzeciw Skały Kmity lesiste wzgórze Szozyglic (287 m) idziemy początkowo zosą w dół Rudawy, po czym skręcamy na most. Przeszedłszy go, idziemy kilkadziesiąt metrów w górę doliny i ścieżkami leśnymi rozpoczynamy podejście ku wieży triangulacyjnej. Niestety, pomost widokowy wieży jest zniszczony i rozległy widok na okolicę podziwiać możemy jedynie z jej podnóża. Do gajowni Grzybów — 3 km. Od Skały Kmity idziemy około 500 metrów w dół rzeki, następnie skręcamy na drogę leśną zamkniętą zazwyczaj szlabanem. Droga ta wiedzie przez piękny las mieszany będący terenem doświadczalnym UJ (Uwaga: w połowie drogi ścieżka rozgałęzia się: idziemy w lewo). Od gajowni Grzybów w prawo odchodzi ścieżka do Zabierzowa — 4 km w lewo do Balice (3 km — pałac z XVII w, mieszczący obecnie teren doświadczalny UJ).

Do Skały Kmity dochodzimy ze stacji kolej. Zabierzów — 3. Rowerzyści i motocykliści jadą z Krakowa zosą krakowsko-katowicką przez Bronowice i wzgórze Pasternik — 14 km.

MARIAN NOWAK

Nasz dzisiejszy, 19 z kolei kącik turystyczny jest ostatnim w tegorocznym sezonie wycieczkowym. Sądzimy, że Czytelnicy skorzystają z niego jeszcze w którąś z pogodnych, jesiennych niedziel. Na wiosnę przyszłego roku spotkamy się znowu, znowu będziemy służyć Wam radą w wędrowkach po pięknych okolicach naszego miasta. W jakiej formie to zrobimy, zależy tylko od Was — czekamy na listy z uwagami, propozycjami i życzeniami. (m)

Kruczkowskiego i decyzja Komisji są bardzo rozsądne.

Każda budowa kosztuje więcej, w miarę, jak przedłuża się tok pracy. Ponadto projektowane oszczędności przy użytkowaniu teatru i dążenie do maksymalnego wykorzystania jego pomieszczeń stanowią rekojmię, że eksploatacja tej ogromnej inwestycji będzie skrojona mniej więcej na miarę naszych kieszeni. (Chodzi o projekt utworzenia wokół Teatru Wielkiego centrum kultury muzycznej kraju, wykorzystania sali i pomieszczeń do innych imprez muzycznych, skromniejszy budżet na prowadzenie opery, niż to poprzednio planowano) Mimo że cieszę się, iż Warszawa będzie miała jeszcze jeden teatr z supernowoczesnym zapleczem, zwany powszechnie „teatrem przyszłości” — nie mogę oprzeć się, znanym już, sceptycznym racjom. Mam wrażenie, że w każdym z nas drzemie to małe „ale”, gdy styszmy wymieniane zawrotne sumy złotych polskich i zawrotne metry kubatury, które zosą na Teatr Wielki Opery i Baletu przy Placu Teatralnym. W sytuacji tak już poważnie zaangażowanej budowy — cóż można było dzisiaj lepszego zaproponować ponad to, co powiedziała Komisja sejmowa? Decyzja o jak najszybszym uruchomieniu sceny wydaje mi się jedynie słuszną i celową.

Najbardziej chyba poszkodowana jest Telewizja, która ciągle dzieląc los Kopciuszka skrycie marzyła o podzieleniu się z Operą pomieszczeniami teatralnymi. Niestety, jak stwierdziła Komisja, wprowadzenie innego użytkownika do pomieszczeń teatralnych jest niemożliwe z przyczyn technicznych. Tym samym Telewizja musi w dalszym ciągu

swoj Teatr Sensacji, a po drugiej — to duże, kulturalne miasto od zamierzchłych czasów (dosłownie) nie zbudowało ani jednej sali widowiskowej i jeszcze na długi czas przestronna hala „Gwardii” musi mu wystarczyć.

Tymczasem ze szkół artystycznych co roku wychodzą zdolni absolwenci, którzy chętnie zagaliby na scenie estradowej. Dwa lata temu byłem na przedstawieniu szkolnym w teatrze warszawskim, gdzie Kazimierz Rudzki prezentował swych wychowanków z wydziału estradowego. Było na co patrzeć! Ci młodzi, świetnie zapowiadający się aktorzy, zostali dosłownie rozchwytani przez teatry komediowe w Polsce. To właśnie z tego rocznika wyszła znana dziś w Warszawie bardzo uzdolniona Barbara Rylska, z powodzeniem kreująca rolę „Królowej Przedmieścia”.

W warszawskich teatrach już właściwie pełnia sezonu, choć premier powakacyjnych jeszcze nie ma, ale można za to zobaczyć wszystkie sztuki, które „uciekły” przed wakacjami. Przede wszystkim — Gustaw Holoubek w sztuce Sartre'a „Diabeł i Pan Bóg” przyciąga co wieczór pełny komplet warszawskiej widowni. Adolf Rudnicki napisał w swym doskonałym szkicu, że Holoubek urzeka gdy gra Złot, jest nieprawdźwiwy i deklamuje gdy w drugiej części sztuki pragnie realizować Dobro. Zastanawiam się, czy jest to wina aktora? A może tekst, tak ciekawy i precyzyjny filozoficznie zawodzi przez zbyt nieprzejaskrawienie końcowych sytuacji? Mogę tylko powiedzieć, że przedstawienie jest uspaniałe. Męczy i zmusza do nieustannej kontroli intelektualnej, ale jest to niewątpliwie wusitek

środkowisku wsi, czy małego miasteczka. Do tradycji tych wraca tzw. eksperyment wągrowski (dlaczego eksperyment, skoro rzecz stara, jak świat?), który właśnie czyni szkołę ośrodkiem i ogniskiem życia kulturalnego młodzieży a także dorosłych na wsi. Eksperyment ten ma być rozszerzony stopniowo na inne województwa, z tym, że obejmować ma najpierw jeden powiat w każdym województwie. Najważniejszym jednak zadaniem jest szybka pomoc ruchowi kulturalnemu w ośrodkach prowincjonalnych, a to szczególnie poprzez komisje koordynacyjne, które w takich województwach jak katowickie, bydgoskie czy białostockie zdały świetnie egzamin. Ciekawostką z tego tematu: już w roku bieżącym powstaje we Wrocławiu nowa uczelnia na poziomie półwyższym, która będzie szkolić specjalne kadry pracowników kulturalno-oświatowych.

I wreszcie — słowa gorącego uznania oraz powodzenia dla Tadeusza Bocheńskiego z Zakopanego, który odznaczony został centralną nagrodą dla aktywów kulturalno-oświatowego. Minister Kultury i Sztuki przyznał bowiem z okazji podsumowania pracy nagrody dla najwybitniejszych działaczy. Zostały one wręczone najbardziej aktywnym pracownikom k.o. profesorom, nauczycielom, aktorom, studentom, pracownikom rad narodowych i bibliotek. Wśród nich Tadeusz Bocheński należy do czołówek krajowego aktywów kulturalno-oświatowego. Wygłosił już ponad 1400 odczytów, a jego ofiarą i piękną działalność na polu upowszechnienia kultury znana jest nie tylko w województwie krakowskim,

KRYSTYNA STANIEK